Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Cena egzempl. 50 gr

kuźnica

miesięcznik poświęcony zagadnieniom współczesności i śląska

ROK II. MAJ 1936 NR. 5.

TREŚĆ:

Przekroje.

Kraj się buntuje przeciw nędzy i beznadziejności dnia. Wypadki krakowskie, częstochowskie i lwowskie sygnalizują głośno o budzeniu się mas z apatji. Za krew, jaka się polała na ulicach naszych miast, nie można obarczać żywiołów wywrotowych, — wina leży nie w nich, ale w rzeczywistości polskiej.

Zapatrywać się na te zjawiska inaczej, znaczy tyle, co być ślepym lub pozbawionym uczucia miłości własnego narodu. Przecież te buntujące się tłumy robotnicze wołają o pracę i głębszy sens życia społecznego. Reprezentują nie co innego tylko rację stanu. Oczywiście rację stanu na innej platformie. Walka o pracę i sprawiedliwy podział chleba to walka o mocną Polskę.

Nieprzerwana apatja świadczyłaby źle o społeczeństwie polskiem (pomijając już społeczne i moralne skutki takiego stanu), — reakcja przeciw złu mówi o moralnem zdrowiu. To proste! — Trzeba zatem ostro rozgraniczyć to, co w tych wypadkach jest akcją męt i wywrotowców od tego, co jest wyrazem walki robotnika polskiego o lepszą przyszłość.

* * *

Na polskiem życiu ciąży wciąż szlachetczyzna. Przejawia się tak w obyczajności, jak w stosunku warstw górnych (bogatszego mieszczaństwa, inteligencji, burżuazji i arystokracji) do mas ludowych. Pokutuje pogląd, że jedni stworzeni są do pełnego używania dóbr kulturalnych i materjalnych, drudzy do zbierania okruchów z tej uczty i obłapienia jeszcze kolan za tę „dobroczynność“. „Bo tak zawsze było, będzie i być musi“ — oto kwintesencja mądrości życiowej przeciętnego przedstawiciela tych warstw (i również przeciętnego chłopa i robotnika). Przyczyna takiej „ideologji“ leży m. in. w małem zaawansowaniu kulturalnem i społecznem ludu, co nie pozwala mu wymusić szacunku dla siebie. To tłumaczy te feudalne nastroje i tę papierową demokrację w praktyce.

Najlepiej i tę „ideologję“ i to oddalenie jednej warstwy od drugiej ilustruje następujący fakt: na wiecu robotniczym, zwołanym z okazji wpisów do szkół na Śląsku, przemawia z kościami poczciwy pan. Dla przykładu, że u nas znów nie tak źle, daje porównanie między Polską a Stanami Zjednoczonemi A. P. „Jakkolwiek, powiada, Stany Zjednoczone uchodzą za kraj miodem i mlekiem płynący, ludzie cierpią tam głód. U nas, chwała Bogu, nikomu chleba nie braknie“. W tej chwili na sali zrobiło się wesoło i posypały się kpiny.

Zdarzenie to wyraża bardzo dużo: mówi zarówno o oderwaniu tego pana (i jego warstwy) od życia, jak i klasycznie przedstawia co dopiero scharakteryzowaną postawę psychiczną. Dziwią się dobrze żyjący ludzie, że bezrobotni np. mogą być niezadowoleni, skoro dostają chleb i t. d. z opieki społecznej; tak jakby ten kawałek chleba, dostarczony przez

filantropję urzędową czy społeczną, rozwiązywał wszystkie aspiracje człowieka i wszystko załatwiał.

Dziwią się i oburzają, że chłop i robotnik nie zdradza entuzjazmu państwowego i t. p. Ależ ten chłop i robotnik jest państwowcym, lecz w innym sensie. Przecież Polska takiego „hurapatrjoty" a Polska chłopa i robotnika to dwie różne Polski.

I taki pan oburzający się na brak patrjotyzmu u mas dopieroby wylewał kubły niezadowolenia i na państwo i na rząd, gdyby mu tak choć na krótki czas przyszło się znaleźć w roli tych „niepatrjotycznych".

* * *

Komunałem będzie stwierdzenie, że przeżywanym przemianom społecznym i politycznym towarzyszą głębokie przemiany w ustosunkowaniu się człowieka do wszelkich rzeczy. I to po obu stronach barjery. Więc i tego człowieka, co wegetuje, i tego, co żyje po ludzku. Nędza pcha jednych do walki o zmianę sytuacji, innych do godzenia się z losem i wyzbywania wyższych aspiracyj. Z jednej strony wysiłki organizacyjne, praca mózgowa, ideologiczna, z drugiej wytwarzanie się warstwy parjasów, zgadzających się na jałmużnicze bytowanie.

Podobny proces psychiczny zachodzi w warstwie rzekomo przodowniczej, — inteligenckiej wobec tych zagadnień. Część t. zn. inteligencji, zrośnięta ideowo z masami ludowemi i tkwiąca w nich, czuje w sobie odpowiedzialność za ich losy — za ich fizyczny i moralny rozwój, — część na to zjawisko patrzy biernie, obojętnie. Więcej, stara się utrzymać jaknajwiększy dystans między sobą a niemi; czasem ma to charakter wstydliwy, pogardliwy, jak ten przysłowiowy stosunek do upośledzonego członka rodziny.

(W praktyce taką samą postawę zachowują różni salonowi komuniści i radykałowie).

Ale to są tylko uogólnienia wyczuwanych i obserwowanych przejawów. Wyraźnie natomiast i w postaci konkretnych faktów występuje często ten dystans lub też ten pański, lekceważący, ademokratyczny stosunek inteligencji do robotników w warsztacie pracy.

Zachodzą wypadki nieliczenia się z ustawodawstwem robotniczem ze strony dyrekcyj i inżynierów. Pełno się słyszy skarg radców załogowych, że w gruncie rzeczy nic albo niewiele mają do powiedzenia na terenie fabryki czy kopalni. Skarży się często robotnik na odnoszenie się doń inżyniera. Że traktuje go z góry, jak kiedyś szlachcic pańszczyźnianego chłopa. Na terenie Śląska pociąga to za sobą fatalne skutki natury państwowej.

Dzieje się to nieraz nie ze złej woli — poprostu podświadomie. Przecież na jedno miejsce w fabryce i kopalni czeka 10-ciu bezrobotnych. Więc jak śmiesz, robociarzu, myśli sobie taki pan pracodawca lub urzędnik, mieć własne zdanie, skoro masz to wielkie szczęście, którego inni nie posiadają: pracę.

I tak obserwujemy świadomy czy nieświadomy sabotaż, nietylko ustawodawstwa, ale również równouprawnienia.

* * *

Napomknąłem mimochodem o dwóch groźnych przejawach współczesności polskiej: o oderwaniu większości warstwy inteligenckiej od życia i izolowaniu się jej od społeczeństwa, wreszcie o tendencji kastowej tej warstwy. Tę separację i tę kastowość ujawnia zwłaszcza biurokracja. Znajduje to nawet wyraz u bardzo wielu inteligentów urzędników, pracujących w organizacjach społecznych. Nie tkwią w nich całą duszą, nie czują się ich cząstką składową, — należąc do nich formalnie, stoją faktycznie poza niemi. Robią łaskę „maluczkim", oświecając ich. Robotnik, chłop, młodzież robotnicza i chłopska wyczuwa doskonale, że ten lub ów pan to nie ich człowiek, ale ktoś podstawiony. (Jest jakaś niezdolność nawet u inteligencji pochodzenia ludowego do uczuciowego i ideowego związania się z warstwami pracującemi, czy też powrotu do nich). Tem się też tłumaczy to unikanie przez inteligencję organizacyj o pewnem zdecydowanem obliczu ideologicznem, a ciążenie do organizacyj bezwyrazowych. W tych ostatnich bowiem nie trzeba zajmować stosunku do spraw.

Cechuje tę warstwę jeszcze jedno: niezdolność widzenia rzeczywistości w jej właściwych kształtach. Właśnie naskutek tego oddalenia się od niej. A z drugiej strony czuje strach przed zupełnem jej straceniem z oczu. Zatem trzeba ją mieć choćby w złudzeniu. Tu więc leży przyczyna tej bogatej produkcji papierowych projektów i innych figlików, mających stworzyć namiastkę prawdziwego ruchu i pracy.

CZYTELNIKÓW, zalegających z opłatą prenumeraty, powiadamiamy, że niewpłacenie należności za ubiegłe okresy spowoduje wstrzymanie wysyłki pisma.

ADMINISTRACJA

Nic dziwnego więc, że sprawy załatwia się pod kątem widzenia biurka, a nie strony, gdyż ta strona nie stanowi dla takiego urzędnika czegoś żywego i bliskiego.

* * *

Ten styl życia polskiego łamie się na szczęście właśnie pod naporem rosnącej świadomości szerokich rzesz narodowych, gdyż nie może im odpowiadać jako styl cieniutkiej i w wielkiej mierze pasożytniczej warstewki. Warstwa „przodownicza“ o takim charakterze jak dzisiaj musi zniknąć. Rola faktycznej „warstwy“ przodowniczej polegać będzie w przyszłości na pionierskiem działaniu w obrębie całego narodu bez wyodrębniania się z niego. Ale wtedy to już nie będzie żadna warstwa. Będą zdolniejsze i wartościowsze jednostki w jednym szeregu.

Kto już dziś czuje zgodność pulsu swojego z pulsem całości, wierzy mocno w własny naród, jest z nim mocno związany i widzi sens własnego istnienia i pracy.

PAWEŁ MUSIOŁ.

Panowie w stolicy palili cygara.

Za czasów absolutyzmu oświeconego wysoko stała sztuka dyplomacji. Stosunki międzypaństwowe układane były na podstawie rozgrywek władców, traktujących swe terytorja i ludność jako bierne przedmioty przetargów. Na tem tle zrodziły się pewne stałe formy, owiane mitem tajemniczości i celebracji. Powstał też typ męża stanu dyplomaty, mistrza sztuki tajemnej. Ten typ zanikać zaczął w wieku 19-tym, wraz z postępującym rozwojem urządzeń demokratycznych.

Technika i formy stosunków międzynarodowych, pozostały w zasadzie te same, zmieniła się jednak rzecz istotna. Inne bodźce zaczęły nią kierować. Dawny egoistyczny pogląd jedynego władcy musiał ustąpić głosowi ludu. Sztuka dyplomacji przestała być sztuką samoistną i musiała się oprzeć na inspiracji parlamentów.

Przeciw parlamentarnej polityce zagranicznej podnoszono w latach powojennych szereg zarzutów. Głównym zarzutem był ten, że intencje parlamentów są chwiejne, skąd też z pełnomocnikami rządów nigdy nie można prowadzić na terenie międzynarodowym rozmów, z którychby mogły wyniknąć trwałe zobowiązania i prawa państw we wzajemnych stosunkach.

Nowoczesne państwa dyktatorskie mają w stosunkach międzynarodowych tę wyższość jakoby nad demokratycznemi, że ich pełnomocnicy mogą mieć taki patos bezwzględności, na jaki nie mogą się zdobyć parlamentarzyści, zmuszeni stale oglądać się na wyniki wewnętrznych partyjnych rozgrywek. Krótkie doświadczenia jednak współczesne w tym kierunku pozwalają już dzisiaj stwierdzić, że ta wyższość jest iluzoryczna. Żadna z dyktatur nie wytknęła sobie trwałej linji politycznej nazewnątrz (wyłączając współczesne Niemcy). Brak tu jest tego istotnego dla wysokiej wartości polityki państw absolutystycznych z dawnych wieków momentu, jakim jest stałość życiowych stosunków gospodarczych i społecznych. Brak jest pozatem zerwanego przez późniejsze przewroty momentu tradycji.

Nowoczesne państwo dyktatorskie jest odarte z tego mitu, jakim był otoczony dawny monarcha. Dlatego też sama władza nie jest wystarczającym czynnikiem dla sprawności i pewności linji wytycznej zagranicznej polityki.

Nie wynika z tego, by lepsze było oparcie polityki zagranicznej o system partyjnych rozgrywek parlamentarnych, ale w każdym razie wynika z tego, że należy poszukiwać nowych źródeł dla tej polityki, wzgl. nowego oparcia moralnego dla niej. Oparciem tem nie jest ani sama władza rządu, władza w sensie policji rządzącej, ani też nie jest nią fluktuacja wpływów parlamentarnych. Dyktatura daje tylko jedną rzecz dobrą w tej dziedzinie. Sprawniejszą organizację przedstawicielstwa zagranicznego narodu. Dyktatura zapoznaje jednak fakt, że współczesne społeczeństwo to nie jest już bierny element z wieku 17-go dający się dowolnie kiero ać przez rządzącą elitę, przeciwnie, społeczeństwo jest tym czynnikiem, który jedynie może dać elicie rządzącej moralne oparcie i siłę. Innemi słowy mówiąc, także i polityka zagraniczna winna mieć oparcie w społeczeństwie. Polityka zagraniczna winna wywodzić się genetycznie z politycznej organizacji narodu. Do tej pory ten jeden prosty fakt zrozumieli zdaje się tylko Niemcy, i wyniki, jakie osiągają, winny być przykładem prawdziwości tego zdania. Wobec ostatnich wydarzeń bezsilną okazała się polityka państw demokratycznych, a polityka dyktatur, nie opartych na narodzie, stała się piłką, podbijaną przez obcych a silniejszych. Hitler miał odwagę przemawiać ponad głowami przedstawicieli rządów do samych narodów. I tu się nie zawiódł. Tylko narody są dziś czynnikiem, który może być podstawą układania wzajemnych stosunków między państwami.

W Polsce społeczeństwo jest obecnie wyłączone z jakiegokolwiek udziału w kształtowaniu naszych

losów międzynarodowych. Jesteśmy na froncie antylokarneńskim, o tem wiemy, ale dlaczego nikt się nas nie pyta, czy chcemy tam być, dlaczego w dodatku, stale mamy do tego dopłacać dzięki różnym kombinacjom z tranzytem, dewizami i t. p.

Dziś człowiek nie jest już zamknięty w granicach swej wioski i nawet swego państwa. Dziś każdy człowiek ma już potrzeby o zasięgu międzynarodowym. Dlatego też każdy człowiek ma prawo żądać, by był uaktywniony w kształtowaniu międzynarodowych stosunków swego państwa. Dlatego też sprzeczne z prawami postępu społecznego jest konspirowanie polityki zagranicznej przez kilku ludzi i zamykanie ust organizacjom społecznym w tej dziedzinie. Czas zerwać z tajnemi rozgrywkami dyplomatycznemi, prowadzonemi nietylko z obcymi, ale i z własnym narodem. Najwyższy czas uaktywnić ponownie na zachodzie odpowiednie organizacje społeczne. Czas zerwać z rozbrajaniem moralnem społeczeństwa. Rozbrojenie moralne jest szkodliwym frazesem, wtedy gdy jest tylko przez jednych robione. Chcemy być potężni i zbrojni.

Polityka zagraniczna to nie jest bridż, tu chodzi o życie narodu, tu tylko naród może być decydującym czynnikiem. Śpieszyć się trzeba, czas nagli.

Kilku panów ze stolicy nie widzi tego, czego trzeba masom narodowym w stosunku do obcych państw. Przyjedźcie tu na zachód, posiedźcie kilka lat jak inni za psie pieniądze pod obcym pracodawcą, a zrozumiecie, co to jest potrzeba unarodowienia przemysłu i co więcej całego życia.

Jeśli z temi postulatami jest sprzeczna nasza polityka zagraniczna, to nie te potrzeby zduszać, ale politykę zagraniczną na innych podstawach moralnych oprzeć należy. Polityka zagraniczna winna być wyrazem zorganizowanej woli całego narodu, tak jak i każda inna dziedzina polityki państwowej.

JAN ZYGMUNT.

O upłynnienie obciążeń gospodarstw rolnych.

(Artykuł dyskusyjny).

Z naciskiem należy stwierdzić, iż obecne położenie rolnictwa naszego jest bardzo ciężkie i że wymaga ogromnego wysiłku ze strony społeczeństwa rolniczego oraz pomocy Rządu dla przetrwania tego kryzysu. Dotychczasowe programy polityki rolniczej były jednak budowane w tem przekonaniu, iż przeżywany kryzys gospodarczy ma raczej charakter konjunkturalny, a w związku z tem środki i metody państwowej polityki gospodarczej nie mogły być przystosowane do istotnych potrzeb ekonomicznych wsi polskiej. Tymczasem w dzisiejszych czasach trudno jest prowadzić jakąkolwiek akcję gospodarczą lub społeczną, nie mając wyraźnie sprecyzowanych celów d a l s z y c h. Toteż w polskich stosunkach rolniczych cele te muszą być określone jaknajprędzej, co równocześnie uchroni naszą politykę rolniczą od niepotrzebnych wahań i przypadkowości. Przytem cele te winny wynikać ze struktury społecznej i gospodarczej wsi oraz z ogólnych stosunków ekonomicznych kraju.

Nędza wsi i niski poziom kulturalny drobnego rolnictwa nie jest bynajmniej tylko wynikiem przeżywanego obecnie kryzysu. Kryzys ten ujawnił bowiem tylko w większym stopniu niedomagania gospodarcze, których źródło tkwi znacznie głębiej — w s t r u k t u r z e g o s p o d a r c z e j i w n a d m i a r z e b e z r o b o t n e j l u d n o ś c i w i e j s k i e j. W tych warunkach coraz bardziej wysuwa się na plan pierwszy sprawa ratowania drobnej własności rolnej od ruiny gospodarczej, tem więcej, iż drobne rolnictwo uzyskuje na rynkach handlowych mniejsze ceny z racji nieumiejętnego zbytu i słabej organizacji (własność ta obejmuje obecnie przeszło 80% gruntów uprawnych i produkuje wytworów roślinnych powyżej 80%, a wytworów hodowlanych 90%, całkowitej produkcji rolnej).

Nie wchodząc tutaj w szczegóły — mimo piętrzących się trudności przy rozwiązywaniu tych spraw, Państwo nasze nie może nadal operować półśrodkami i odkładać decyzję radykalnych rozwiązań, gdyż inaczej rolnictwo polskie stoczy się w przepaść ruiny gospodarczej, w którą pociągnie za sobą i całą gospodarkę narodową. Polska jest przecież krajem mniejszej własności rolnej, wobec czego i interesy gospodarcze tej formy władania ziemią — muszą być postawione na p i e r w s z y m p l a n i e!

Ustawy oddłużeniowe i Bank Akceptacyjny pomogą mniej obciążonym i uzdrowią ich rzeczywiście, ale całe masy ciężej obciążonych nie wytrzymają i pójdą z torbami...

Zewsząd słyszy się zdanie, iż najważniejszym postulatem, mającym prowadzić do uzdrowienia gospodarki, jest konieczność znacznego rozszerzenia kredytów dla rolnictwa, przemysłu i handlu, a to drogą powiększenia środków obiegowych; w ich ciasnocie upatruje się bowiem i słusznie główne przyczyny trudności finansowych jak i trwającego już od dłuższego czasu przesilenia. A jednak,

z chwilą, gdyśmy przez reformę walutową i stworzenie złotego zatrzymali tak szkodliwą dla nas inflację markową, tem więcej winniśmy być ostrożni, abyśmy nie spowodowali nowej inflacji.

A jednak tak jak w przemyśle podstawowem zagadnieniem na chwilę bieżącą jest rozwiązanie problematu podniesienia wydajności pracy, celem usprawnienia i potanienia produkcji przemysłowej, tak w rolnictwie podstawowem zagadnieniem podniesienia wydajności ziemi jest — i było zawsze — udostępnienie środków obrotowych w postaci kredytu. Temu brakowi możnaby zaradzić mimo ciężkich warunków i dziś nawet, a to przez t. zw. upłynnienie części majątku, leżącego obecnie martwo w ziemi i innych nieruchomościach.

I ten właśnie temat pragnę obecnie poruszyć... Już przed wojną światową, coprawda w innej formie, odbywało się to upłynnienie majątku rolnego; dlatego też widzieliśmy taką masę domen i majątków państwowych na ziemiach zachodnich Polski, na których dawni właściciele i nadal siedzieli, lecz już jako państwowi dzierżawcy. A powodem tej przemiany — były znane przedwojenne coraz cięższe warunki w związku ze wzrostem intensywności gospodarstwa, wymagającego od posiadacza coraz większego kapitału obrotowego. Podobnie działo się i w innych dzielnicach Polski, wolano nabywać dzierżawy niż kupować majątki na własność. Toteż, jeżeli głębiej wnikniemy w istotę tych procesów, samo życie wskazuje nam, jak mamy wyjść z obecnej ciężkiej sytuacji rolniczej.

Przedewszystkiem trzeba raz wreszcie zwaloryzować wszystkie zobowiązania krótkoterminowe, tak hipoteczne jak i pozahipoteczne, i jako takie, zabezpieczając je, wpisać do księgi wieczystej danej nieruchomości, przyjmując jako podstawę waloryzacji przeciętny procent obecnej wartości, który, jak to stwierdzono — o ile chodzi o warsztaty rolne — waha się mniej więcej w granicach 43% dawnej wartości. Następnie na tę ustaloną wysokość zadłużenia należy wypuścić specjalny papier obiegowy ze stałą wartością, czyli innemi słowy — pieniądz papierowy prywatny (banknot hipoteczny), któryby kursował w kraju na równi z pieniądzem papierowym państwowym, a różniłby się zewnętrznie tylko tem, żeby procentował, przez co też napewno chętniej byłby przez ludność przyjmowany. Pieniądz taki musiałby być wypuszczony albo przez Towarzystwo Kredytowe, albo też przez banki państwowe kredytu długoterminowego i zająłby ustawowo drugie skolei miejsce po pożyczkach długoterminowych. Całe zatem społeczeństwo byłoby w ten sposób tym wierzycielem rolnictwa — w miejsce najrozmaitszych dzisiejszych wierzycieli — tak, jak dziś jest wierzycielem Państwa — przyjmując papierowy pieniądz państwowy. Rolnictwo zaś, dostawszy taką — narazie bezzwrotną — pożyczkę, przytem nisko oprocentowaną, stanęłoby odrazu na nogi!... bo nie byłoby obciążone zamrożonemi zobowiązaniami, opiewającemi na zupełnie nierealne w dzisiejszych czasach kwoty, wielokrotnie przewyższające obecną rzeczywistą wartość kupna złotego.

Wypłatę procentów możnaby wyznaczyć rokrocznie, ewentualnie co kilka lat, a to przez zmienianie jednej serji tego pieniądza na drugą; w ten sposób nie potrzebaby robić specjalnych kuponów, niepraktycznych i łatwych do zagubienia. Sczasem, w miarę coraz lepszej sytuacji gospodarczej w kraju, z wpłacanych przez rolników procentów i niewielkich kwot na amortyzację — możnaby przystąpić i do wycofania tych papierów z obiegu.

Gdy się zważy, iż nasz stan posiadania w rolnictwie określa się, przyjmując obecną przeciętną cenę ziemi, na około 60 miljardów złotych, to jasnem staje się, iż w całokształcie polskiego majątku narodowego jest to składnik olbrzymi. A tymczasem stan zadłużenia rolnictwa, licząc w to już wszystkie długi hipoteczne, należności wekslowe i t. p. nie dochodzi podobno nawet do sumy 5 miljardów złotych, czyli 8%. Zatem obecne zadłużenie rolnictwa, biorąc ogólnie — jest bardzo nieznaczne, podczas gdy przed wojną światową było o wiele większe, tak że niektóre warsztaty rolne, zadłużone nawet do 80%, mogły jeszcze funkcjonować prawidłowo i podnosić wydajność ziemi, a to dzięki temu, że — poza możnością korzystania z taniego kredytu długoterminowego, miały udostępnione korzystanie i z licznych źródeł niedrogiego kredytu krótkoterminowego, którego dziś prawieże niema. Toteż zasłużony wielce działacz społeczny w Wielkopolsce ś. p. ks. Wawrzyniak zwykł był mawiać wówczas: „niechaj się rolnik zadłuża, byleby produkował“.

Rozwiązanie tych zagadnień wraz z bezwzględnem podniesieniem produkcji rolniczej — nie jest rozumie się kwestją łatwą do zrealizowania. Jednak, jeśli się tego nie przeprowadzi, to nietylko że rol-

nictwo pogrąży się w dalsze dziadowstwo, ale i kraj nie dojdzie do spokoju, bo nie dojdzie do tej równowagi gospodarczej, która z każdym dniem staje się groźną coraz bardziej koniecznością!...

* * *

Czy jedr k w tym kierunku należy pójść, aby zlikwidować obecny marazm gospodarczy?... Bezwzględnie — tak! boć w zasadzie, cóż za różnica między powszechnie znanym papierem długoterminowym — t. zw. listem zastawnym Towarzystw Kredytowych Ziemskich, czy Miejskich, wprowadzonym na giełdę i podlegającym grze giełdowej najrozmaitszych spekulantów na zwyżkę względnie zniżkę tego papieru (spekulantów, którzy ani sieją, ani orzą, ale za to zbierają), a projektowanym — o stałej wartości, kursującym w kraju na równi z pieniądzem papierowym państwowym? List zastawny — dla jego posiadacza ma o tyle wartość, o ile w każdej chwili może zostać sprzedany za wyłożoną przez kogoś innego gotówkę, lecz dziś przecież tej gotówki niema, to też trzeba szukać bezgotówkowych wartości, będących wartością samą w sobie, przy tem przez wypuszczenie pieniądza papierowego prywatnego hipotecznie dobrze zabezpieczonego — unika się i niepotrzebnych pośredników giełdowych, a równocześnie ożywia się stosunki gospodarcze, usuwa bezrobocie, zatrudnia młodzież, która właściwej pracy w życiu swojem jeszcze nie zaznała, dając społeczeństwu, kto wie, czy nawet nie lepszy papier niż pieniądz papierowy państwowy, oparty mniej na realnych wartościach, a przedewszystkiem na zaufaniu do Państwa, jako dłużnika społeczeństwa. Według mnie, niema dziś innego wyjścia, aby ruszyć życie gospodarcze z obecnego martwego położenia; jedynie bowiem stworzenie dostatecznej ilości środków obiegowych — może to uczynić. Toteż raz wreszcie wyjdźmy z kręgu różnych półśrodków i stałego deptania w miejscu, ożywmy Towarzystwa Kredytowe, by dalej emitowały owe dobrze nam znane z czasów przedwojennych listy zastawne dla większego rozwinięcia życia gospodarczego w naszym kraju, bo i ta dziedzina od szeregu lat zarządzeniem władz została kompletnie zahamowana. Dokoła nas wre bowiem ogromna twórcza praca naszych zawistnych sąsiadów, odwiecznych wrogów naszego niepodległego bytu państwowego. My tylko takąż pracą możemy w pośród nich się utrzymać!

Kiedyż Państwo nasze — zamiast szamotać się i kręcić w zaklętem kole drobnych spraw codziennych — wkroczy wreszcie na drogę rzeczywistej budowy Wielkiego Mocarstwa, zaprzęgnie do tego wielkiego dzieła serca, mózgi i ręce — młodych pokoleń, czekających niecierpliwie po wsiach, osadach i miasteczkach na pracę? Mamy przecież urodzajną glebę, wielkie lasy, bogate pokłady węgla, nafty, pokaźne zapasy rud, a przedewszystkiem płodną ludność. Jest więc materjał na budowę Wielkiego Państwa, trzeba tylko woli, planu, wysiłku organizacyjnego i entuzjazmu mas do tego wielkiego dzieła. Czas najwyższy na decydujące kroki! Nie mamy dziś już chwili do stracenia. Potężni nasi sąsiedzi pną się w górę bez złota, to też i Naród Polski, który więcej cenił zawsze żelazo niż złoto musi obecnie mnożyć i uruchomić żelazne konie mechaniczne we fabrykach, warsztatach, na roli, na drogach i w powietrzu, opancerzyć piersi swych żołnierzy potężnemi tankami, a granice swoje — żelazobetonowemi fortami.

Żyjemy bowiem w dobie wielkich przemian dziejowych, które domagają się od nas wielkich wysiłków!... Zgon Marszałka Piłsudskiego, będącego dotąd siłą dynamiczną Polski, jest momentem bezwzględnie zwrotnym w naszych dziejach, to też obecnie tą siłą dynamiczną — mogą stać się tylko siły zbiorowe całej Polski. Zrozumienie tej prawdy, opanowanie nabytych nałogów i uprzedzeń będzie wielkim krokiem naprzód do znalezienia właściwego kierunku myśli i działań.

Po szczęśliwie doprowadzonej do końca walce o niepodległość polityczną naszego Narodu, musi zatem obecnie zawrzeć energiczna i stanowcza walka i o Jego niepodległość gospodarczą i to na wszystkich frontach!

JERZY ZAKRZEWSKI.

Na marginesie rozporządzenia dewizowego.

Nie lekceważymy poważnych wad struktury naszego gospodarstwa narodowego. Industrjalizacja i reforma rolna wołają o spełnienie.

Nie lekceważymy także konieczności wzmożenia kapitalizacji wewnętrznej, acz zdajemy sobie sprawę z tego, iż roboty publiczne oznaczają w efekcie stwarzanie nowego kapitału, mianowicie rzeczowego.

Nie wykluczamy wreszcie w naszej ocenie — dodatnich cech inicjatywy kapitału prywatnego.

Tem niemniej, oceniając zastaną sytuację trzeźwo, twierdzimy, że trzeba najpierw stworzyć konjunkturę, w której mogłyby odbywać się procesy przebudowy strukturalnej. Tudzież, wierzymy, że w tym celu nie należy liczyć wyłącznie na kapitał prywatny. W oparciu o cyfry statystyków, doświadczenie lat ubiegłych, jak i znajomość „polskiego“ kapitału nie wierzymy, aby ów, bardzo prywatny, czynnik mógł stać się motorem ożywienia gospodarczego kraju, zatrudnienia olbrzymiej armji bezrobotnych, stworzenia

AUGUSTYN SUSKI

W drodze.

Ze zbyrkiém ciupag i wartkiéj krwie furkotém
haw my sie sparli,
jak w śklanej cihości zakamieniało muzyka . . .

Sami!

Jacy przed nami niebo, jak paceśno husta
do słonka sie bieli
i jaśni sie jasność,
jak śrébno dornia [1])
wygwizdem wiatru ze słonka wykuto. —

Jacy hań orły piórcom [2]) sie na turniak . . .
patrzom w przepaście —
i krzykiem łyskawicy łomie sie po piorgak [3])
nuta,
co jom miesiącek
wygroł na gorącyk hmurak.

Przed nami ogni sie, farbi
i hucy i dudni, jak turnie podziemne,
jutro
wyraźne i widne naoścież,
a w ocy sie śmieje, iskrzęcy
młodościom,
dziwozona z warkocem wieśnianej zieleni . . .

Kieby ino do ręcy
ten moc uhycić,
co zdole zaciąć sie twardo w perć — i iść . . .
hoć grań nie pusco
i gwarem lawiny,
jak pies na drodze sie kładzie.

Kieby zycie
ukręcić warem krwie w giętkość zelaznych
powrozów hej! . . .
wtebymy zwarci, jak smreków kiść
w siumnej [4]) gromadzie
śli
naproci lawin i mgieł i fujawic i mrozu —
w świt! . . .

Ze zbyrkiém ciupag i wartkiej krwie furkotém
haw my sie sparli,
jak w śklanej cihości zatysone [5]) granie.

Słonko nom ręce podaje ze złota,
promięckami obłapio i ku siebie garnie . . .
Słonko! !
a wiater
zdysany
goni po polanie
w liścianym
wionku
i orle pióra ruco nom do ręcy.

Hej, niesie nom pióra wielgim światém
orłowe pióra
niesie
wiater —

My ik depcémy, w świt idęcy,
w huściawe leśnom . . .
bo coz nom z pierzy u ramieni,
kie nos matura sama niesie
i krew,
co nom w napiętyk żyłak brzęcy
i nutom sie jasnom na lickak cérwieni.

---

[1]) darń; [2]) dostają pierwszych piór; [3]) piargi, drobne kamienie u stóp turni; [4]) huczny; [5]) zagaszone.

---

nowych, tak bardzo potrzebnych wartości użyteczności powszechnej.

Ze względu na powszechny, społeczny, charakter potrzeb, winno zainicjować wielkie prace publiczne — społeczeństwo, reprezentowane przez Państwo.

Obowiązkiem też Państwa jest zdobyć potrzebne na ten cel środki pieniężne.

Wobec ich braku, może Państwo sfinansować konieczne roboty jedynie w drodze transakcji kredytowej. Jest to tak samo oczywiste dla gospodarstwa publicznego, jak i prywatnego. Darowizna w Banku Francji albo Anglji chyba nie wchodzi w rachubę.

Jeśli się uzna za fakt notoryjny, iż dalsze pompowanie wewnętrznego rynku pieniężnego przez efektywne zapożyczanie Państwa nie jest celowe, pozostają naszem zdaniem, tylko dwie realne możliwości wielkich operacyj kredytowych:

a) długoterminowy, niskoprocentowy, złoty kredyt zagraniczny,

b) pieniądz wewnętrzny.

Obie ewentualności dotyczą dziedziny kredytu. Przy pierwszej — zagranica pożycza nam efektywnie tyle i tyle złota we funtach, dolarach czy frankach, przy drugiej — społeczeństwo przyjmuje do obrotu i „darzy" kredytem bilet, wydany przez Skarb Państwa zamiast banknotu względnie banknot, nie mający pełnego pokrycia w złocie, i świadczy wzamian — usługi i rzeczy.

W pierwszym przypadku chodzi o efektywną pożyczkę, w drugim o transakcję, przypominającą dyskontowanie weksla, przyczem pokryciem dodatkowego środka obiegowego będzie — przy ewentualnem utrzymaniu zasady pieniądza kruszcowego — zobowiązanie się Państwa do zastąpienia w pewnym, dalszym (kredyt musi być długoterminowy) okresie czasu biletów

skarbowych banknotami względnie do zwrotu pożyczonych banknotów bankowi biletowemu.

Oczywista, danie do obrotu biletów skarbowych czy też powiększenie ilości banknotów nie może opierać się wyłącznie na samem zaufaniu. Musi za niem pójść sankcja Państwa, wymuszającego przyjmowanie tych obligacyj jako środków obiegowych, lecz społeczeństwo nasze przyzwyczaiło się chyba dostatecznie do pożyczek na rzecz Państwa, niezupełnie dobrowolnych, i nową formę przymusowego kredytu przyjmie niewątpliwie znacznie łatwiej, aniżeli pożyczkę efektywną.

Oceniając obie ewentualności, musimy stwierdzić, iż pierwsza koncepcja (pożyczka zagraniczna w złocie) posiada dużą wyższość w stosunku do drugiej (pieniądz wewnętrzny).

Złota pożyczka zagraniczna oznacza przypływ do kraju środków pieniężnych o znaczeniu międzynarodowem, za które Państwo może organizować produkcję nietylko z elementów, będących do dyspozycji na terenie kraju, ale również i z surowców i wytworów oraz usług, sprowadzanych z zagranicy. Tymczasem -- z natury rzeczy — pieniądz wewnętrzny, oparty na autorytecie Państwa, służyć może wyłącznie do obrotów wewnątrz Państwa.

Znanem jest w ekonomji prawidło, iż pieniądz gorszy wypiera lepszy. Stąd poszczególne państwa, emitujące bilety skarbowe, operują niemi w sposób planowy, m. i. w większych odcinkach, aby nie dopuścić do tezauryzacji banknotu. Z tego powodu byłaby mniej kłopotliwą koncepcja wypożyczania Skarbowi Państwa potrzebnej ilości pieniądza przez bank biletowy przy jednoczesnem obniżaniu wzgl. zniesieniu pokrycia w złocie.

Pieniądz wewnętrzny spełni niezbędne minimum potrzeb gospodarczych społeczeństwa i Państwa. Pieniądz wewnętrzny zniesie tę dziwaczną anomalję, iż istnieją w samym kraju wartości gotowe do produkcji, jak praca, kierownictwo, surowiec, żywność, odzież, a nie można puścić w ruch machiny produkcyjnej spowodu braku środka wymiany.

Już wielokrotnie podawano, iż, aby np. budować drogi, nie potrzeba importu.

* * *

Kiedy wyznajemy takie credo gospodarcze, godzi się podkreślić, iż wprowadzone ostatnio ograniczenia

Numer niniejszy ukazuje się z opóźnieniem spowodu strajku pracowników drukarskich.

Chleba......

W zwyczajny sobie dzień roboczy stał opodal starej szkoły młody człowiek i patrzył podsiniałemi, zadumanemi oczyma na szerokawą ulicę, która ciągnęła się niby wąż wzdłuż całej osady.

Ulica i szkoła... ileż to marzeń się z niemi wiąże, a ile rozbiło się tu i tam. Na ławie marzył i śnił o tem, co to będzie, gdy podrośnie w siły. Będzie chodził codziennie rano tą szeroką ulicą do pracy, będzie zarabiał, miał własny grosz, będzie mógł to i owo kupić. Wszystko, co kiedyś z matką w mieście na pięknych wystawach sklepowych oglądał, będzie dlań dostępne, będzie mógł wybierać... kupować... sobie, matce, ojcu, bratu.

A teraz?

Sen dziecinny dawno prysnął, jak bańka mydlana.

Szkoła pochłaniała mu jeszcze część dnia, resztę zaś pędził w nieświadomości. Nie myślał wtedy o jutrze — inni za niego myśleli.

Obecnie, gdy już dziewięć lat popłynęło z nurtem czasu od chwili, gdy brama szkolna się za nim zamknęła, patrzał znów na ten gościniec wiecznie życiem tętniący, ale jakże inny on wydawał mu się teraz. Jak tu inaczej było, gdy z innemi dziećmi bawił się w „gonionego“ lub pod latarnią łapał chrabąszcze, które, oślepione światłem, niby kołowacizną tknięte, zataczały łuki i ósemki wokół lampy, a potem spiralą spadały na ziemię. Zbierał je lub łapał czapką wprost w powietrzu, pakował do butelki i znosił kurom.

Znał on tę ulicę, oj znał. Ileż to razy tędy latał matce po zakupy. Tu w niedzielę na przykopie wysiadywał z innemi dziećmi, bawił się, marzył o pięknem ubraniu, patrząc na spacerujących ludzi.

Lecz jakżeż inne to wszystko dzisiaj! On już nie mały chłopiec w krótkich spodenkach, ale — mężczyzna dorosły, który w ubiegłym tygodniu z wojska wrócił.

Nie ma o czem marzyć. Wszystko to dawno już minęło bezpowrotnie — nastąpiła szara, twarda, prawdziwa rzeczywistość.

Żartował w prawdzie czasem, że mu dobrze, bo pracować nie musi, ale co się działo w jego duszy, tego nikt nie zgłębi, bo on twardy, skamieniały i.... nie powie. Wstydził się sam przed sobą swej niedoli. „Mrucka“ *) go było wobec ludzi za swe ubranie, za swą nędzę i upośledzenie: klął siarczyście i Boga naprzemian o pomoc prosił.

*) Wstydził się.

dewizowe mogą stanowić ważny krok na drodze zrealizowania omówionej transakcji kredytowej.

Zawieszono wymienialność banknotu nawet na dewizy.

Nie wolno wywozić zagranicę nawet waluty krajowej, niewątpliwie w obawie, aby jej podaż na terenie zagranicznym nie spowodowała tam konieczności kosztownej interwencji dewizowej, względnie, aby nie spowodowała spadku tej waluty.

Zajął się ustawodawca ochroną naszego zapasu niezbędnych w handlu międzynarodowym dewiz.

Temsamem stworzono formalne warunki, umożliwiające Państwu Polskiemu w ślad za wieloma innemi inaugurację polityki, zmierzającej ku stworzeniu na wewnątrz dodatkowych ilości środków jako jedynie dzisiaj realnej operacji kredytowej — bez obawy o spadek waluty, chronionej przepisami dewizowemi.

Materjalne przesłanki dla takiej polityki gospodarczej powstały o parę tygodni wcześniej, kiedy dowiedzieliśmy się, iż budżet Państwa jest zrównoważony. Oznacza to bowiem — w razie stabilizacji równowagi budżetowej, iż pieniądz wewnętrzny będzie służyć żywotnym celom produkcyjnym, bogacącym, a nie będzie jego funkcją łatać dziury budżetowe.

Przy tym zespole korzystnych warunków, formalnych i materjalnych, oczekujemy od Rządu śmiałych gospodarczych pociągnięć.

CZESŁAW PRZYMUSIŃSKI.

Więcej oświaty w pracy oświatowej.

Artykuł nin. jest drugim z cyklu artykułów krytycznie oświetlających zagadnienia życia oświatowego i społecznego. Tytuł pierwszego brzmiał: „Młodzież interesuje się tylko sportem“ w nr. 3 „Kuźnicy“ r. 1936.

Dlaczego więcej? Bo w pracy organizacyj, które się mienią społeczno-oświatowemi, a szczególnie w organizacjach młodzieżowych jest jej mało, stanowczo za mało. Często zaś jest ona fikcją, której nie usuwa sam fakt istnienia różnych referentów oświatowych. Będę tu mówił zasadniczo o terenie śląskim, ale gdzieindziej jest tak samo, albo jeszcze gorzej.

Praca oświatowa, kulturalno-oświatowa obejmuje różne dziedziny i różne działania, jak śpiew, muzykę, teatr, czytelnictwo i t. d. W zespole jednak różnych czynników, podnoszących poziom kulturalny jednostki i społeczeństwa, najważniejszym jest kształcenie

---

Unikał wzroku ludzi, jakby się bał, żeby nie wyczytali mu z oczu wielkiego bólu, pogardy dla siebie i stłumionej nienawiści do sytych.

Czasem zastanawiał się nad tem, czy on wogóle jeszcze kiedyś będzie zdolny do pracy; dotychczas jeszcze jej w ręku nie miał, nie zakosztował jej złych ani dobrych stron. Żył dotychczas na łaskawym chlebie inwalidy ojca.

Ale ileż ich do tego było — brat żonaty przychodził i patrzał do garnka, siostry zamężne z dziećmi, drugi starszy od niego brat, który również w domu siedział — wszyscy staruszków rodziców objadali.

Matka krzątała się jak mogła, dzieliła ich chlebem, kartoflami, bo każde z nich drogie jej sercu było.

To wystawanie na ulicy i zabijanie czasu obrzydło mu już postokroć. Wstydził się jednak, żeby z kimś pogadać, żeby się czegoś dowiedzieć, bo, a nuż, ktoś jakąś doraźną chociaż robotę mu poradzi...

Galbas, który obok niego siedział na kamieniu, widać niebardzo kwapił się do rozmowy. I jemu nieróżowo układało się życie.

Świstał pocichu melodję starego tanga, to pociągał skręconym w gazetę z tytoniu fajkowego papierosem, pluł przez zęby i podparty łokciami o kolana spozierał na czubki swych podartych butów.

Ciszę tę przerwało klekotanie dzwonka.

Gromada dzieci z hałasem wypadła na podwórko. Część z tabliczkami i książkami pod pachą wracała do domu i głośno rozmawiała, kłócąc się między sobą i poszturchując nawzajem.

Pchały się do chłopaka, który, blady kiejby całun śmiertelny, ledwo trzymał się na nogach.

Pokpiwali z niego niektórzy chłopcy, że „zgramida“, bo zemdlał w szkole, natrząsał się ten i ów, inny szarpał za zwisającą szmatę do wycierania tabliczki, tamten wreszcie smarował mu plecy kredą.

Zgniewało to wszystko Szczepona Guzego, który przyglądał się tej młodocianej tłuszczy, natrząsającej się z nieszczęśliwego kolegi.

Skoczył, ponurem a gromiącem spojrzeniem rozprószył całą dzieciarnię, wziął chłopca za rękę i zapytał:

— Co ci jest? Kaj mieszkosz?

Chłopak wykształcił kilka zdawałoby się niezrozumiałych słów przez łzy.

Guzemu to wystarczyło. Zrozumiał całą niedolę tego

umysłu, szerzenie wiedzy. Człowiek „oświecony“, musi coś umieć, musi wcale wszechstronnie interesować się otaczającem życiem i jego zagadnieniami, musi się niemi niepokoić i szukać ich rozwiązania. Musi się więc uczyć. Tutaj mamy dwie drogi, jedna to samokształcenie, które winno być podstawową formą oświaty pozaszkolnej, druga to kształcenie przez drugich. W obu wypadkach nasuwa się potrzeba należycie zorganizowanego czytelnictwa, opartego o sieć racjonalnie urządzonych bibljotek, zaopatrzonych nietylko w książki beletrystyczne, ale i popularno-naukowe.

Kształcenie przez drugich — to kursy różnego rodzaju, to wykłady. Materjał akcji kształcącej — to nieograniczony świat wiedzy, pełen osiągniętych już wyników i nierozwiązanych jeszcze zagadnień i wątpliwości.

U nas akcja oświatowa na terenie organizacyj społeczno-oświatowych została, i słusznie, wciągnięta do służby wychowania obywatelskiego. Do zakresu tegoż wychowania należą różne działania. Wśród nich oświata winna zajmować jedno z pierwszych miejsc. Bo potrzebny nam jest nietylko moralny, karny i zdrowy, ale także mądry i kulturalny obywatel.

Pomijając narazie inne dziedziny wychowania obywatela, dzisiaj mówmy o sprawach „mądrego“ obywatela, o akcji oświecania jego umysłu.

Dziedzina tej pracy, prowadzona przez organizacje społeczne, stoi bardzo nisko, a właściwie leży na obu łopadkach.

Jak wspomniałem, pracę oświatową włączono do wychowania obywatelskiego. I tutaj ograniczono się niemal wszędzie i niemal wyłącznie do nauki o Polsce współczesnej, nauki — na stopniu szkoły powszechnej. Mówi się więc o granicach Polski, o walkach o niepodległość, o rozwoju gospodarczym, o Konstytucji. Nietylko, że zakres poruszanych tematów jest wąski, że ilość ich jest nikła, ale co gorsza, mówi się na temat tych zagadnień w sposób powierzchowny, bez głębszej znajomości tematu, mniej więcej tyle i to samo, co dzieciom w szkole powszechnej — powtarza się z roku na rok te same wiadomości.

Małą zaś wiedzę i niedostateczne swe przygotowanie w zakresie wiadomości łata prelegent nudną dekla-

dziecka. Zawyło coś w jego duszy — uświadomił sobie nędzę swoją i jego. Niczem się one nie różniły.

On, biedę swą za hańbę mniemając, wstydził się jej wobec ludzi, którzy, zdawało mu się, szydzą z niego, a ten oto mały pędrak na własnej skórze doznał poniewierki za to, że głodny.

Trzymając chłopca za rękę, szedł wzdłuż ulicy powoli, dziecięcym krokiem, starając się równocześnie pocieszać swego małego towarzysza niedoli.

Za nimi miarowym krokiem postępował Galbas.

Wracając napotkali po drodze gromadę dzieci, które piskliwemi głosami, z polska akcentując, śpiewały „Jugend will marschieren“.

To „mniejszość“ wracała ze spaceru ze swym pedagogiem niemieckim.

— Dusze sprzedane — zauważył Guzy.

— Za chleb, bracie — wzruszył ramionami Galbas.

Długo szli w milczeniu. Dawno już opuścili osiedle i zbliżali się do cegielni, którą miano od wiosny uruchomić.

Tymczasem wszędzie pusto i głucho. W cegielni gnieździły się kawki i wrzaskiem witały przybyszów. Jaskółki wesoło chybotały w powietrzu, a lud — tulił się gdzieś po zakamarkach, niby zapowietrzony.

Jak słuchem sięgnąć nieszumno, niegwarno — głucho. Słychać jeno czasem w oddali rytmiczny turkot pociągu, słychać czasem głośne ujadanie psa z pobliskiego osiedla.

W piaskowni cegielnianej widać jeno trochę wynędzniałych dzieciek, grzebiących w piasku.

Na horyzoncie — cmentarzysko pracy rąk ludzkich. Sterczą tylko zamarłe w bezruchu kominy — krzyże grobowe, ten i ów tylko przypomina czasy sytości . . . Dymi jeszcze, ale na tle tej ponurej teraźniejszości obłoki dymu, opadające bezładnie ku ziemi, upodabniają go dziwnie do płaczącej brzozy, posadzonej ręką współczucia nad mogiłą przyszłości.

Dwóch młodych ludzi, rzekłbyś cienie postaci ludzkich, patrzyło na bezmiar bogactwa i nędzy, na olbrzymią pracę i bezpracę, a dusze ich nurtowało koszmarne pytanie:

— Czy to wszystko nazywa się życiem?

OSWALD BULKA.

macją o obywatelu, o państwie, że „wszystko dla państwa" i t. d.

I przeważnie te właśnie wykłady i morały to cała „oświata"! I tem karmi się młodzież i starszych na różnych zebraniach, akademjach i w świetlicach.

Oczywiście trzeba obywatelowi mówić o państwie, trzeba dużo mówić o Polsce, trzeba od czasu do czasu palnąć mu podniosłe kazanie „obywatelskie", trzeba wytwarzać nastroje i robić propagandę, ale nietylko to wyłącznie i nie tak, jak się to obecnie robi w większości wypadków. I nie można do tego ograniczać pracy oświatowej.

W obecnym stanie rzeczy usunięto z szeregu zagadnień, o których należy mówić, całą dziedzinę wiedzy. Zupełnie pomija się zagadnienia przyrodnicze, literaturę, filozofję, ekonomję i t. d. Nie urządza się dobrych, solidnie opracowanych wykładów z tych dziedzin. Nie uwzględnia się zainteresowań umysłowych, a dla uspokojenia sumienia, głosi się, że brak jest zainteresowań poważnych wśród młodzieży (na ten temat patrz artykuł „Młodzież interesuje się tylko sportem" w nr. 3 „Kuźnicy").

Brak też zrozumienia dla pracy samokształceniowej. Wogóle niewielu pracowników oświatowych zajmuje się zainteresowaniami umysłowemi członków organizacyj.

Nic w tem dziwnego. Żeby drugich uczyć, trzeba samemu więcej umieć. Tymczasem, szczerze to sobie powiedzmy, zasób wiedzy u przeciętnego pracownika społecznego jest u nas przerażająco mały. Zapomniał już wiele z tego, czego się uczył w szkole, a nowych wiadomości nie zdobył, bo niema na to czasu. Bo goni z zebrania na zebranie, bo wszędzie deklamuje to samo o Polsce. Jakżeż ma innych pobudzać do samokształcenia, kiedy sam siebie nie pobudził? Jakżeż ma drugich uczyć, kiedy mu wiedzy ledwie dla dzieci w szkole starczy, jeśli jest nauczycielem, a na nim głównie spoczywa ciężar pracy społecznej zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. Zresztą nikt od pracownika społecznego nie wymaga, żeby wiele umiał. Powszechna opinja wymaga natomiast, by był dobrym mówcą i dobrym organizatorem. Przedewszystkiem dobrym organizatorem. Moment organizatorstwa zaciężył zbyt jednostronnie a przez to szkodliwie na naszem życiu społecznem. I dlatego pracownik społeczny, pochłonięty wirem życia organizacyjnego, wirem zebrań, zjazdów, konferencyj nie myśli o kształceniu siebie i innych. Niema czasu na czytanie, na myślenie. Umysł mu jałowieje. I albo to widzi, ale trudno mu się wyrwać z tej matni, albo... zaczyna patrzeć z pogardą na naukowców, na pracę naprawdę kulturalną, naprawdę oświatową. I twierdzi wtedy, że najważniejszą rzeczą jest, by ludzi wychować na dobrych obywateli, do czego, jego zdaniem, nie potrzeba im żadnych mądrości. Bo on sam niewiele przecież umie, a mimo to tak pięknie o Polsce mówi i w tylu organizacjach jest członkiem zarządu i na tylu zebraniach codziennie bywa, słowem taki wzorowy obywatel.

Nic więc dziwnego, że w organizacjach społecznych ignoruje się w rzeczywistości prawdziwą oświatę. Ratują sytuację narazie nieliczne, ale na szczęście coraz liczniejsze placówki czysto oświatowe, jak uniwersytety powszechne i różne kursy. Równocześnie powoli ale coraz szersze kręgi zatacza akcja samokształceniowa. Ruszamy więc naprzód. By ten proces przyśpieszyć, by podnieść naprawdę poziom umysłowy, a tem samem kulturę najszerszych mas, musimy usuwać konsekwentnie te zapory, jakie stoją na drodze. Zreorganizowanie bibljotek, które obecnie nie spełniają swych zadań, organizacja akcji samokształceniowej wśród najszerszych mas i... wśród pracowników oświatowych, wciągnięcie do pracy społecznej ludzi nauki, zwrócenie baczniejszej uwagi na czytelnictwo, oto najważniejsze postulaty, które należy zrealizować, by w pracy oświatowej było więcej oświaty.

CZESŁAW DROZDOWSKI.

O rozbudowę form współczesnego wychowania.

W poprzednich numerach „Kuźnicy" poruszyliśmy sprawę współczesnej rodziny miejskiej i proletarjacko-robotniczej. W toku rozważań doszliśmy do przekonania, że jej funkcja społeczna, a przedewszystkiem wychowawcza maleje. Ponieważ z rozwojem kulturalnym społeczeństwa idzie w parze rozwój i doskonalenie form i techniki wychowawczej, gros prac wychowawczych objęła szkoła.

Szkoła a przedewszystkiem powszechna stała się prawdziwem ogniskiem wychowawczem. Ponieważ jednak w założeniach swych szkoła ma spełniać funkcję nauczającą, a w rzeczywistości spada na nią wiele więcej innych zadań wychowawczych, następuje rozbieżność pomiędzy dyktowanemi przez życie zadaniami, a możliwościami ich spełnienia przez szkołę.

Przypatrzmy się choć pobieżnie pracy szkoły powszechnej.

W pierwszym rzędzie ma szkoła uczyć, t. zn. wprowadzać młodzież w pewne wybrane wartości kulturalne. Będą to wartości natury moralnej, religijnej, humanistycznej, przyrodniczo-matematycznej, technicznej, artystycznej i społeczno-obywatelskiej. Już pomiędzy zadaniami, jakie szkoła ma do spełnienia w dziedzinie nauczania, a możliwościami dokładnego

ich wykonania następuje rozbieżność. Szkoła bowiem otrzymuje materjał dziecięcy, który powinien do niej wejść z pewnym zasobem umysłowym, na którym ma rozpoczynać się nauka szkolna, a który ma powstać w normalnych i przeciętnych warunkach kulturalnych otoczenia dziecka. Tymczasem domowe warunki dziecka są częstokroć tak pod względem materjalnym jakoteż duchowym tak ubogie, że dziecko nie odpowiada poziomem swego umysłu przepisanemu programowi nauczania. Jako przykład możemy wziąć klasę ósmą, którą kończy zaledwie 30% uczniów, podczas gdy reszta ich rówieśników pozostała w klasach niższych.

Z tych też i innych względów powstała konieczność rozbudowania działalności szkoły, tak ażeby dziecko przenieść w godzinach pozalekcyjnych z ciasnej i ubogiej kuchni, podwórka czy ulicy w warunki kulturalniejsze. Organizuje się więc w szkole popołudniu pod dozorem nauczyciela świetlice, kluby dziecięce, czytelnie i t. p.

Obok tego istnieją organizacje i zrzeszenia młodzieżowe. Aczkolwiek mają one charakter pozaszkolny, w rzeczywistości przejawiają one swoje życie w murach szkoły i pod dozorem jej personelu.

Są to wszystko czynniki składowe wychowania duchowego. Równocześnie spełnia szkoła cały szereg dodatkowych funkcyj wychowania, które moglibyśmy nazwać opiekuńczemi. Będzie to opieka nad ciałem i zdrowiem dziecka. Szkoła prowadzi akcję dożywiania. Obok tego rozdaje się w szkole odzież, buciki i inne części ubrania. W nowocześnie urządzonych szkołach istnieją łaźnie kąpielowe. W skład personelu szkolnego wchodzi lekarz, który czuwa nad zdrowiem dzieci. Pomaga mu w pracy higjenistka szkolna. Przez szkołę organizują poszczególne instytucje kolonje letnie, wysyłkę dzieci do miejsc uzdrowiskowych.

Równocześnie zachodzi konieczność oddziaływania szkoły na pedagogikę domową. Pedagogika ta w sferach proletarjackich jest jeszcze bardzo prymitywna. Wystarczy przejść wśród uczniów, ażeby zauważyć krwawe pręgi na twarzy niektórych dzieci, naderwane uszy, sińce i t. p. Są to widoczne skutki doraźnych metod wychowania domowego. Tutaj szkoła spełnia funkcję uświadamiającą rodziców o nowocześniejszych i mniej surowych metodach wychowawczych.

Musielibyśmy poświęcić dłuższy artykuł całemu szeregowi zagadnień życiowych, które spełnia względnie ma spełniać współczesna szkoła powszechna.

Jedno jest pewnikiem: pedagogika z domowej stopniowo staje się w ośrodkach przemysłowych i miejskich społeczną. Punktem wyjścia dla wpływów społeczeństwa na wychowanie jest szkoła. Ponieważ, jak powiedzieliśmy powyżej, szkoła organizacyjnie ma spełniać zadania nauczające w wychowaniu, nie może dokładnie spełniać wszystkich powierzonych jej funkcyj. Stąd następuje rozdźwięk pomiędzy zamierzeniami, jakie sobie szkoła wytknęła, a faktycznie osiągalnemi rezultatami.

Zachodzi więc konieczność przywrócenia szkole dawnej jej funkcji tylko nauczającej. Podnosząc szerokie sfery społeczne na wyższy poziom życia kulturalnego, spełnia już doniosłą rolę społeczną. Po eksperymentach i próbach uczynienia ze szkoły prawdziwego domu dziecięcego, musi ona wrócić do zakładu tylko nauczającego. Należy więc odciążyć ją od wszystkich dodatkowych zadań wychowawczych. Należy zwiększyć funkcję społeczeństwa w samej dziedzinie wychowania. Wszystkie agendy wychowawcze czy to państwa, czy związków komunalnych, czy też instytucyj opieki społecznej należy przenieść poza mury szkoły, usprawnić je i nadać im głębszą treść.

Spróbujmy, przynajmniej teoretycznie, przeprowadzić reorganizację dotychczasowych form wychowania.

Przedewszystkiem musimy zwrócić uwagę na wychowanków znajdujących sie w warunkach najniepomyślniejszych. Będą to dzieci, które naskutek nędzy materjalnej, czy duchowej najbliższego otoczenia są skazane na zagładę czy to fizyczną czy też moralną. Dla tych muszą istnieć osobne zakłady wychowawcze. Będzie to zupełne zerwanie z domem rodzinnym i przeniesienie dziecka w inny świat. Dotychczas istniejące zakłady poprawcze są przeznaczone dla dzieci, które już dobrze zaznajomiły się z policją, sądem i aresztem. Nam chodzi o zakłady, które nie naprawiają zła, (częstokroć bezskutecznie, bo zapóźno), lecz zabezpieczają dziecko przed niem.

W poszczególnych ośrodkach muszą istnieć specjalne domy dziecięce. Będą to ośrodki, w których dziecko spędza czas wolny od nauki. Zależnie od warunków materjalnych środowiska będą wyposażone w świetlice, czytelnie, hale sportowe, łaźnie, jadalnie, ogrody, warsztaty i t. p.

Należy powołać do życia specjalnych urzędników, sprawujących dozór nad wychowaniem domowem i regulujących wychowanie społeczne. Ich zadaniem będzie prowadzenie ewidencji wszystkich dzieci danego obwodu i troska o pomoc materjalną dla dziecka biednego. Wskazówkami i radami będzie pomagał rodzicom w ich pracy wychowawczej. Dzieci, którym grozi zaniedbanie moralne czy fizyczne, będzie skierowywał do odpowiednich zakładów wychowawczych.

Należy dziecku uprzystępnić korzystanie z teatru i kina, stojącego na odpowiednim poziomie.

Pozostaje do omówienia sprawa zrzeszania się młodzieży w odpowiednich organizacjach. I tutaj organizacje te, zakrojone na szeroką miarę, a więc obej-

mujące swemi wpływami całą młodzież, przejawiają swoje życie organizacyjne na terenie specjalnych ośrodków życia młodzieżowego.

Z pobieżnego rozpatrzenia wychowania młodych pokoleń widzimy luki i poważne niedociągnięcia. Sprawa wychowania jest sprawą powszechności kultury, udostępnieniem szerokim masom należytego korzystania z bogactw tej kultury. Z tem łączy się jeszcze zagadnienie kompetencyj i obowiązków w dziedzinie wychowania. Nie może ono być tylko sprawą upadającej w swym wpływie wychowawczym rodziny. Nie może też być tylko sprawą organów państwowych. Jest obowiązkiem całego społeczeństwa.

EMIL KUJAWSKI.

Zwracamy uwagę na nowy adres redakcji i administracji „Kuźnicy“ Katowice, Plebiscytowa 1.

Śmierzć.

To sie tak ino zdaje. Ale ono ta s nami nie jest tak doznaku wyraźnie, jakby sie hoć wtoremu mądremu widziało. Pojeden powie, ze ludzie pierwej nie wiedzieli nic, a teroz wiedzom — Haj! Dyć ta moze i wiedzom, ale nie sytko. Kręcom temi głowickami, co raty, a biedy i bolu ze świata wygnać ni mogom.

Weźmy na ten przykłod śmierzć. Powiadajom, ze zycie to tak, jak ogień, a śmierzć tak, jak woda. Ze jedno drugie gasi. A to sie ino tak widzi. Kozdy jeden bez to ino umiero, ze zyje. Zycie to śmierzć, ino potargano na malutkie, do cudu pieknie pofarbione strzępki. I człowiekowi sie zdaje, jeze on zyje — he raty — a on ino te strzępki ze sobom zesywo, jaze usyje śmierzć. Dyć kiebymy wiedzieli, ale coz? nie wiemy. Kozdo rzec, co za niom banujemy [1]), co boli nos i ciesy, to jacy strzęp śmierci.

Opowiadoł mi nieboscyk dziadek. Nie wiem, cy to prowda, ale wtoz ta wie? Może i prowda. Było tak:

W jednej hań takiej hałupince pod lasem naproci [2]) Zoru siedziała baba. Barz młodo ona ta juz nie była. Miała juz moze jakie pięćdziewiędziesiąt roków abo więcyl. Ale ze była jesce do świata i krzepko sie trzymała, tozto se ta duzo nie markocieła. A siedzioł przy niej jej malućki wnęcek, Wojtuś. Straśnie ten Wojtuś swojom babke rod widzioł. Kie wygnali krowe na rąbanisko [3]), a posali zawdy oboje, to sie widziało, co końca rady nie bedzie Wojtusiowej gwarze. Telo juz opowiadoł, dopytowoł sie, medetowoł . . . a ino ocami na babke strzygł, co ona na to. Babka mu tá przykwalowała, hoć ta i nie zawdy wiedziała, con on ten Wojtuś w głowicce swojej uzdajoł, no bo to przecie dziecko. Ino se wciągle myślała, jakby ón se ten chrobocek bez niej na świecie poradzieł.

— Zesietniałaby moja krusyna doznaku. Bo ludzie nie usanujom, hej nie!

A Wojtuś sie o to nie tropieł.

— Babko! powiado roz do niej — A kieli wy bedziecie juz, jak jo bede teli, co wy?

— Samo tako bede, jako jek dziś. Duzi nie rosnom.

— A cemu?

— Bo nie umiom.

— A dzieci umiom?

— Dzieci umiom, a duzi juz nie — zabocyli.

Wojtusiowi dość sie to cudnie widziało, ze duzi, a nie wiedzom tele, co dzieci.

— Ale jo bede wse rósł, hoć bede duzy. Jo nie zaboce — gonieła spata [4]) koło babki — a pote, jak urosne teli, co nas jasień [5]) na oborze, to wos wezmem na ramienia, cobyście tez byli duzi.

Tak se urodzali babka i wnęcek w jasne popełednia, pasęcy krowe pomiędzy zbutwiałemi pniokami rąbaniska. I babcyne serce przy takik pogwarkak coroz barzej grzybiało, a wnęckowe rosło i cerwieniało coroz to pełniej, jak malina.

Jaz roz co sie nie robi, pocuła babka tak ku raniu, jeze ś niom juz źle.

— Trza iść! — zamrucała pod nosem.

Zwlekła sie pocichućku z pościele, coby Wojtusia nie zbudzić. Przypiena spodnice, zarucieła smatke na głowe, i wysła do pola.

A wtedy na świecie było inacej. Była śmierzć tak, jako i dziś, ino ze ludzie mieli na niom sposób. Jak culi, ze jest źle i onaby juz hnet miała przyjść, brali, sejmowali ze sobie starom skóre i ciskali jom do potoka. Pote sie kąpali w źródlanej wodzie i młodnieli od nowa.

Tak tez umyśleła zrobić i Wojtusiowa babka. Luto [6]) jej było końdek [7]) starego skórska. Dość sie w nim

---

[1]) ubiegać się o coś; [2]) naprzeciw; [3]) miejsce po wyciętym lesie; [4]) określenie na dziecko ruchliwe i wścibskie; [5]) jesion; [6]) żal; [7]) nieco.

przecie bez tele roki po świecie uwycierała, ciepło jej w nim było i dobrze. Ne ale terozby ono świeciało[8]) i ten skóre zmienić.

— Zjedyć kiedy nie Wojtuś — myślała se, idęcy polami ku lasu — to juzbyk to za tem zyciem ani nie banowała. Cy to radość? Kłopoty jacy, zimna i głody. Ne ale cozby sie beze mnie stało z mojom sierotom niewolnom. Dyćby to przecie ludzie stłamsieli, starasieli pomiędzy sobom, jak ten leluje.

Był taki potok. Spod marusyńskiego wierchu wyhodzieł, wartkimi skrętami lecioł bez bory gęste i barcie ku Saflarom, ku Dónajcowej wodzie i hań sie tracieł. Brzegi mioł wysokie, takie grapy[9]) a wzdłuż kolebol sie wiecnie, mrowieł, nieludzkom mowom gwarzył stary, zielony ziąb lasa. Miejscami ślewały sie hań mniejse potocki, przylatowały rogoce[10]) pić i pławieły sie osowiałe niedźwiedzie. Bojno tam było troche i świętalnie.

Ku temu potokowi przywlekła sie Wojtusiowo babka telo juz była słabo, co ani ustoć na nogak ni mogła, ba obłapieła ręcami jeden smrek i przy nim hań usunena sie na kolana. Słonko przebijało sie w tem miejscu bez huściawe[11]) i strzępieło w gałęziach, jak ognisty pulos[12]). Babka patrzała bez łzy na to słonko i septała:

— Mocny! Patrzojze na mnie by bez ten kwile, pokiela jeś tu. Widzis juz dni sie moje wykrócieły[13]), a tu mi ik trza jesce niemało. Dy powiedz som, cy nie! Nie lo sobie, ale lo niego, lo Wojtusia. Dej, coby sie sieła narodzieła we mnie od nowa. Nie zmarnujem jej na mój sto dusiu — wykresem ś niej świat calućki! Mocny! Dej!

Juz jej pote hybieło słów. Wargami jacy porusowała i połomano, jak to dźbło słomy, siwiućko i sucho słonku sie całom sobom pokazowała.

— Patrzojze na mnie!

I słonko patrzało.

Poleło jej i złocieło głowe, ramienia i ręce i stoło napośród nieba nieruchawe i gorące.

Babka srucieła ze sobie odzienie i legła w gorący swąd ferecyny[14]) calućko. Owinena sie niom, przykryła, co była w zieleni, jak ziem na wiesne.

A słonko stało napośród nieba nieruchawe i gorące.

Jaze z oplotu ferecyn znagła wydarł sie krzyk — okrutny, bolesny krzyk, jak kieby sie co rodzieło. A pote cihość.

Z zielonego prędu listowaci wysunena sie na słonko . . . ale juz nie babka. Dziewcątko jakiesi młode, urodziwe i rózowe, jak zornicka[15]). Dźwignena sie jasno, bogienka jakieby w leśnej rosie wykąpano, ręcami sie cało ku niebu podała, zakolebała śmiznym, kolistym tońcem na ferecynie na bujnej, zawyskała[16]) radośnie i z wyskaniem tem skocyła ku potoku, w gąsc gibko i wartko, jak łyskawica. Porusały sie ino gałęzie, zatrzepały skrzydłami wystrochane głuchonie[17]) i telo jej było widać. Zniknena.

A Wojtuś ostoł w hałupie som. Zahodzieł już w głowicke, ka ona ta jego babka tak długo sie podziewo.

Słonecko już wysło na połedeń, a babki nima. Zje kiz to? zacon Wojtuś już i popłakować. Wylecioł na wieś, cy jej tam kany nie ńondzie. Oblecioł sytkie hałupy i o rąbanisko zawadzieł, nie naloz nic.

Ludzie mu radzieli:

— już babka twoja nie przydzie, oho! Posła do lasa i hań sie pewnie z bogienkami skupcyła. Nie widzis ty już swojej, biedoto, nie.

Pojeden radzieł, coby sedł na słuzbe:

— Będzies jacy gęsi pręcikiem zaganiał i cało twoja robota. A zato dostanies przyoblecenie i hów.

Wojtuś nie słysoł. Gonieł polami, wsłuchowoł sie w semrotanie wiatru po olsynak, wypatrzowoł babki we mgle i widziało mu sie kwilami, co ona woło ńoń z nad wody:

— Wojtuś! Wojtuś...

I strach go broł okrutny. Wzion wołać i krzyceć, jaze mu echem od wierchów odbijało. Zasipnon pieknie, a babki nie wywołoł.

Głodny i zmarzniony dolecioł już pote o zmierku do hałupy. Moze babka hań ceko na niego i bedzie holofić[18]), ze światem banuje i nie pilnuje hałupy.

Odeparł dźwierze pocihućku — haj?! Pusto i ćma. Oknami zaziero do izby śtrak i scerzy do niego zęby kraciato derka z pościeli babcynej w kącie.

Przytuleł sie do pieca, nogi pod sie podwinon, uspokojoł sie. Nie widzioł już straha w oknie, ani kraciatej derki na pościeli.

Usnon.

Przespoł tak bez noc, bez caluśkom. Jaze ku raniu zbudzieł sie, bo mu słonecko zaźrało w ocy, strzepneno powiekami i złotemi niciami zadziergało świat. Na głowie pocuł ręke jakomsi lekućkom, co mu sie miękko przesunena po włosah i usłysoł cihućkie:

— Wojtuś! Zje wstańze!

Otworzył ocy. To był przecie zywy głos babki.

— Babko!! — skocył z radości... ale odrazu zmiertwioł[19]). To nie była babka. Do niego śmiały sie młode, oziskrzone ocy i chyleła sie nad nim gębusia gładko, jak jedbow.

Wojtuś sie odsunon. To przecie nie babka, ba dziewka jakosi. Wyciągo do niego ręce, obłapio, przyciągo ku sobie.

---

[8]) wypadało; [9]) urwisty i spadzisty brzeg; [10]) jeleń; [11]) gąszcz; [12]) indyk; [13]) dosł.: wydarły się z ziemi z korzeniami; [14]) paproć; [15]) jutrzenka; [16]) wydała przeciągły okrzyk; [17]) głuszce; [18]) robić kłopot; [19]) zmartwiał.

— Bieda moja kohano! Krusyna niewolno! — bosko go po głowie, ockak i lickak zamorusanyk.

Wojtuś zrazu nie godo nic. Ale pote zacon sie wydzierać:

— Nie kcem! Uciekojcie z tela!

— Zje cemusz to? Wojtuś! — siednena przy nim na pościeli.

— Uciekojcie! Uwidzicie! Ino babka przydzie, to ona wam do... — zacon Wojtuś rzewnemi łzami płakać, bo se teroz przybocył, ze je som.

A ona go wziena i choć krzycoł z całych sił i targoł jom za włosy, zaniosła go ku oknu na ławe.

— Nie poznajes mie Wojtuś? Ne dy to jo przecie — twoja babka...

Wojtuś nie poznawoł. Patrzoł na niom wielgimi ocami bez kwile, ale pote znowa zacon płakać.

— Kany babka? — pyto sie jej pocihućku.

— Ne dy to jo! Wojtuś! —

— Nie... Babka była nasa, a wy...

— A jo co?

— A wyście nie nasa.

— Jakoz to? Ne dy przecie my razem krowicke po rąbanisku pasali. Nie bocys to?

Wojtuś nie bocył nic. On wiedzioł jacy [20]) telo, ze jego babka była inkso, ze tej hawtu młodej nie widzioł jesce nigda. On takiej nie kce. Tozto skocył z ławy i kim sie babka osotała [21]), uciókł do pola.

I młodo babka ostała w izbie sama. Ciężko jej było na sumieniu.

— Miełyz ty mocny! To tak? To jo sie poto telo nautrocała, coby mie mój wnęcek nomilejsy do pola wyganioł?

Zakręciły cię w ocac świercki [22]). Przybocyła se te jasne dnie, kie sama sobą była i miała Wojtusia.

— A teroz co? — pytanie gorące, jak wągiel.

Hej! kieby ona była wiedziała, ze to tak bedzie. Widziało się jej: młodość, nowe zycie, nowe sieły. Haj! Zabocyła ino o jednym, ze cas i tak posed naprzód, choć ona sie wróciela, ze świat ten juz nie jej, ba tyk, co ostali i Wojtuś tez.

— Świecie! świecie!

Pocoz sie wróciela wzod? Teroz je sama, jako ten palec.

I luto sie jej zrobieło tego, co było... Hej! kieby sie to dało wrócić, kieby sie dało!

Poźrała na słonko i słonko poźrało na niom. Zrozumiało jej wołanie. I babka pocuła w sobie znowu słabość. Osunena sie na kolana tak, jako i wte, jako i w lesie. Mrowie jej przesło po kościak, jakosi zimno mortwica.

Poźrała na swoje ręce. Wyciągneny sie i zgrzybiały.

— Coz to! Cyby to juz!

Dowlekła sie do putnie [23]) z wodom.

— Tak, tak! Juz.

Uwidziała we wodzie starość.

I wysła pote przed chałupe i wołała z radościom:

— Wojtuś! Wojtuś!

Przylecioł do jej kolan wartki, jak zyga [24]), gorący i ozradowany.

— Babko!

— — — — — — — — — — — —

Od tego casu ludzie juz skóry zmieniać nie umiom.

AUGUSTYN SUSKI.

---

[20]) tylko; [21]) opamiętała; [22]) łzy; [23]) rodzaj szerokiej drewnianej konwi; [24]) iskra.

Przeglądy.

„Walka o nową Polskę“.

Polska myśl polityczna, tworząca się w szeregach powojennego pokolenia, krystalizuje się coraz bardziej w dwuch zdecydowanych kierunkach, a to radykalizmu społeczno-gospodarczego i narodowego. Gdy chodzi o kierunek pierwszy, to grupy, reprezentujące i wysuwające zagadnienie przebudowy Polski, akcentują bardzo mocno zagadnienie przebudowy gospodarczej, pomijając albo uwzględniając niedostatecznie problemy narodowe. Kierunek drugi bardzo mocno postawił zagadnienie narodu z pominięciem kwestyj gospodarczych, względnie dodaje je luźnie i chaotycznie. Ot tak na doczepkę. I to jest kardynalna wada tworzącej się polskiej myśli politycznej.

Sądzę bowiem, że ani jedna ani druga tendencja nie liczy się dostatecznie z wymogami obecnej polskiej rzeczywistości społecznej. Obecna rzeczywistość społeczna, a zwłaszcza gospodarcza, wymaga takiej koncepcji przebudowy, która wysuwałaby jako najwyższy cel potęgę narodu i zapewnienie temu narodowi warunków pełnego rozwoju. Takie postawienie zagadnienia przebudowy konsekwentnie wysunąć musi kwestję przebudowy gospodarczej, która wyłania się jako warunek osiągnięcia podstawowego, najwyższego celu życia narodowego, jakim jest siła narodu. W ten sposób idea potęgi narodu splata się z ideą sprawiedliwości społecznej tak silnie, że niesposób wyobrazić sobie realizacji jednej bez drugiej. Taki właśnie pogląd na zagadnienie przebudowy Polski krystalizuje się w grupie, skupiającej się koło „Kuźnicy".

Jako przykład, ilustrujący powyższe uwagi, scharakteryzuję krótko książkę Stanisława Miłkowskiego p. t. „Walka o nową

Polskę". Miłkowski należy do ideowych przywódców ruchu młodowiejskiego w Polsce, ma za sobą wcale bogatą działalność publicystyczną, a reprezentuje kierunek radykalno-społeczny, o czem świadczą wymownie sformułowania celu przebudowy społecznej, który, zdaniem Miłkowskiego, musi mieć na uwadze trzy główne momenty, a „mianowicie: urzeczywistnienie sprawiedliwości społecznej, danie dostatecznej podstawy bytu wszystkim członkom społeczeństwa polskiego, oraz tworzenie takiego ustroju, któryby służył człowiekowi i umożliwił osiągnięcie jaknajwiększej wytwórczości dla zaspokojenia wszelkich potrzeb ludzkości". Przytoczone co dopiero określenie celu przebudowy społecznej przez Miłkowskiego jest typowe dla odłamu i ruchu, który on reprezentuje, przyczem z punktu widzenia światopoglądowego zasadniczo materjalistyczne.

Miłkowski, rozwijając swoje założenia „Walki o nową Polskę", w sposób wyczerpujący i z wielkiem znawstwem rzeczy, charakteryzuje obecne położenie polityczne, kulturalne, a zwłaszcza gospodarcze wsi polskiej, dochodzi jego przyczyn i wskazuje drogi wiodące do naprawy stosunków. Ta część broszury Miłkowskiego, dotycząca zagadnienia wsi jest niewątpliwie najbardziej wartościowa, wnosi do tego niezmiernie ważnego zagadnienia szereg nowych momentów i świadczy o głębokiej znajomości problemu u autora.

Gorzej wychodzą rozdziały poświęcone innym dziedzinom gospodarstwa polskiego: przemysłowi, handlowi, oraz takim zagadnieniom życia polskiego, jak choćby ustrój polityczny i sprawy mniejszości narodowych. Odnośnie do mniejszości narodowych nie wysuwa Miłkowski wyraźnie zdecydowanego programu, wynikającego z najżywotniejszych interesów narodu polskiego. Jedynie wyraźniej skrystalizowany jest stosunek do mniejszości żydowskiej. Obóz polityczny, do którego należy autor, widzi rozwiązanie kwestji żydowskiej w „rozwijaniu spółdzielczości", oraz popierania emigracji żydowskiej do Palestyny i innych krajów.

Wobec tego zaś, że autor w tytule zakreślił sobie temat bardzo rozległy i wszechstronnie ujmujący problem przebudowy Polski, czytelnik miałby prawo spodziewać się równomiernego rozwinięcia wszystkich momentów tej przebudowy. T. A.

Audjencja.

W „Czeskiem Słowie" z dnia 29 marca 1936 r. (nr. 88) znaleźliśmy artykulik, który zainteresuje pewnie tych, co interesują się Śląskiem Zaolziańskim, jego sprawą polską i . . . Adolfem Fierlą. Znamienny ten artykulik dajemy poniżej w przekładzie:

„W piątek (dnia 27 marca 1936 r.) przedpołudniem przyjął prezydent republiki dr. E. Benesz znanego młodego polskiego poetę Adolfa Fierlę z Orłowej na Śląsku Cieszyńskim, znanego w społeczeństwie czeskiem przedewszystkiem z tego, iż bardzo pięknie przełożył na język polski poezje Jerzego Wolkera. Audjencja trwała przeszło pół godziny. Fierla, jako pierwszy Polak z Czechosłowacji przyjęty przez prezydenta, złożył mu szczegółowe sprawozdanie o kwestji polskiej na Śląsku Cieszyńskim, co do której prezydent okazuje bardzo żywe zainteresowanie. Poeta ofiarował przy tej sposobności prezydentowi tom swych nowych poezyj „Kolędy beskidzkie", oraz tomik przekładów z poezyj Jerzego Wolkera. Prezydent Benesz prosił Fierlę, by dostarczył mu konkretnych danych z liczbami, objektywnie zebranemi w obozie polskim, i by dane te opatrzył swojemi komentarzami, któreby określały wyraźnie, na czem właściwie polega sprawa polska w Cieszyńskiem. Fierla podjął się tego zadania i w najbliższym czasie poprosi o nową audjencję. („Czeskie Słowo" zamieściło już kilka artykułów i poezyj polskich cieszyńsko-polskiego działacza Fierli)".

Tyle „Czeskie Słowo". Przypominając ową audjencję, przypomnieć także warto niedawne artykuły „Kuźnicy" o Fierli (Dzieje pewnej konjunktury, nr. 3. — „Gwóźdź do konjunktury", nr. 4), które niedwuznacznie przygwoździły i blagę i reklamiarstwo, uprawiane na wszystkich frontach przez tego „młodego polskiego poetę z Orłowej". Fierli — o ile nam wiadomo — nikt nie upoważniał do reprezentowania ludności polskiej w Czechosłowacji. On jednak „podjął się tego zadania". Ta nowa konjunktura może być nieobliczalna w skutkach, a mogłaby także w oczach naszych zrehabilitować Fierlę jako . . . człowieka i Polaka.

W popełnionej niedawno noweletce p. t. „Wielkanoc serca" (Dziennik Polski, 1936, 46) chcielibyśmy widzieć nie tylko zwykłą robotę literacką, lecz także wątek autobiograficzny. Takie właśnie opamiętanie! KOWALCZYK.

Czas uregulować prenumeratę

Konto P. K. O. Nr. 304.581.

Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Plebiscytowa 1. Telefon Nr. 307-51. Konto P. K. O. Nr. 304-581.

Wydawca i Redaktor: Paweł Musioł. Redaktor odpow.: Zdzisław Hierowski.

Abonament: rocznie 5,— zł, półrocznie 3,— zł, kwartalnie 1,50 zł, numer pojedynczy 0,50 zł.

Ceny ogłoszeń: 1/1 strona 200,— zł, 1/2 strony 100,— zł, 1/4 strony 50,— zł, 1/8 strony 30,— zł, 1/16 strony 15,— zł. Drobne ogłoszenia 0,25 za słowo.

Druk: Zakłady Graficzne „Mercuria" Siemianowice Śl.